

Uszatek bez telefonu

Wielka zagadka Misia Uszatka, reż. Ewa Piotrowska, Teatr Lalek Arlekin im. Henryka Ryła w Łodzi

PIOTR OLKUSZ

Pracownik Instytutu Kultury Współczesnej UŁ, redaktor miesięcznika „Dialog”.

Mało kto w naszym teatrze pisze po polsku równie dobrze, co Maciej Wojtyszko. I mało kto, tak jak on, umie żonglować słowami, jakby chodziło o zabawę puchem. Oglądałem spektakl *Wielka zagadka Misia Uszatka* w Arlekinie, starając się ze wszystkich sił zapamiętać te wszystkie kwestie, których urok ma w sobie wiele z uroku fraz z elementarza Falskiego. Zazdrościłem aktorom, że oni tę robotę spamiętywania tekstu mają już za sobą – że mogą się nim teraz przednio bawić.

I oczywiście, jeśli w jednym akapicie pojawia się „Wojtyszko”, „Falski” i „pochwała języka”, to łatwo można by dojść do wniosku, że spektakl łódzkiego teatru jest jakąś nostalgiczną podróżą do przeszłości. Sugerowałaby to zresztą nawet scenografia – prościutka, czasem tylko złożona z więcej niż kilku rekwizytów (jak w olśniewającej scenie w lesie, gdy światło zmieniało rzędy pionowych pni w tajemniczy, prawie magiczny ogród). Kazałby tak myśleć także wybór tematu: losy stworzonego przez Czesława Janczarskiego i Zbigniewa Rychlickiego bohatera, któremu prawdziwą sławę przyniósł dobranocekowy cykl z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Ale nawet jeśli twórcy *Wielkiej zagadki* grają na strunie tęsknoty za młodością rodziców, którzy przyprowadzą do Arlekina swoje dzieci, to w żadnym wypadku nie jest to spektakl robiony wbrew temu, co dziś. Nie ma tu żadnego gniewu na dydaktyczne przedstawienia osławiające młodego widza z poważnymi problemami, których obecność w repertuarach teatrów lalkowych stała się ostatnio wyznacznikiem ich nowoczesności. Nie ma tu też odwrócenia się plecami do teatru walczącego o uwagę małoletniej publiczności głośną muzyką, wysokimi podskokami i neonowym oświetleniem. Oglądamy ciepłą opowieść przygotowaną przez osoby lubiące robić to, co robią: pisać dla dzieciaków, grać dla dzieciaków, reżyserować dla dzieciaków.

Fabularny problem jest prosty. Miś Uszatek (Aleksandra Błażejczyk), choć wygląda na scenie tak, jak Miś z dobranocek oglądanych na telewizorze Rubin lub Elektron, całymi dniami nie odrywa nosa od komórki, bo „ma tam grę zacząć”. Niewiele pomoże tryskający mokrymi łzami Pajacyk Bimbombam (Wojciech Kondzielnik) ani tryskające energią Zajączki (Klaudia Kalinowska, Adrianna Maliszewska). Nawet rymy Gumowego Słonia (Wojciech Schabowski) okazują się zaklęciami bez magicznego pyłu, bo „niedobrze, oj nieładnie / Kiedy ktoś w telefon wpadnie”.

Misiowi jest z tym wyśmienicie (Maciej Wojtyszko nie straszy brzdąców na widowni, że tracą wzrok albo postradają zmysły). Źle jest jego przyjaciółom, którzy... No dobrze, troszczą się o Misia, ale – mam wrażenie – w pierwszej kolejności troszczą się jednak o to, by funkcjonujące latami relacje między nimi nie popsęły się. Lepiej niż w pojedynkę bawić się razem. Potrzeba lekarza, który wyciągnie Uszatka z komórkowych siideł: pozostawał przecież w ich uścisku zbyt długo (właśnie, zbyt długo: „To nie była krótka chwilka / Tylko długich chwilek kilka).

Lekarzem będzie Stary Wróbel (Maciej Piotrowski), który wciągając w spisek grupkę swoich przyjaciół z łąk i lasów, zafunduje Uszatce przedziwną grę w podchody. Nagrodą w niej – początkowo nieznaną – będzie ponowny zachwyt pięknem rzeczywistego świata i powrót do grona przyjaciół. „Na hulajnogę zarzucić nogę” – zaćwierka zawadiacko i mądralińsko do Misia i ruszą na spotkanie z przygodą: krową jak z obrazów Chagalla (ale muczącą swojsko

jak krasule pod Lutomiem), sową, co „lubi sobie siedzieć po dniach”... Będzie to trochę taki film drogi: nieśpieszny, ale nieustannie fascynujący.

W reżyserii Ewy Piotrowskiej to, co się dzieje na scenie, nie ma mechanicznej perfekcji. Zaskoczeniem jest tak silne wyeksponowanie części pierwszej (wydaje się, że zabiegi samych przyjaciół, jeszcze bez pomocy Wróbla, wypełnią cały spektakl). Na ile wynikało to z konstrukcji tekstu Macieja Wojtyszki, a na ile było pokłosiem niechętnego pozbywania się lub skracania scen, które są zwyczajnie piękne? To piękno gwarantują aktorzy Arlekina, animujący tu lalki ludzkiej wielkości, skryci za nimi pod czarnym kapturem, trochę jak w odległym bunraku. Wspaniały jest Maciej Piotrowski: jego Wróbel ma coś z slapstickowego profesora, coś z domorośłego samochwały. Urzekają Klaudia Kalinowska i Adrianna Maliszewska – ich dwa zajęcia zdają się być wprawiane w ruch tą samą dłonią. Frajdę daje muzyka Łukasza Damrycha – kompozytor bawi się konwencjami i muzycznymi wspomnieniami rodziców (od czegoś, co brzmi jak Buena Vista Social Club, po dźwięki z rodzącej się polskiej awangardy muzyki rozrywkowej końca minionego stulecia). Ale mimo tej różnorodności środków ani na przez chwilę nie oglądamy kabaretu.

Oglądamy – wróć tu raz jeszcze do porównań z podręcznikiem Falskiego – przedstawienie przygotowane przez wspaniałych artystów i rzemieślników, którzy nie muszą odpalać fajerków, by scena tętniła życiem. Tę drogę pokornej zabawy wytycza tekst Macieja Wojtyszki; bez wymuszonych gier słownych, ale napisany tak, by dzieci uczyły się słów, których najpewniej nie zna esemesowy autokorektor ich komórek (czy wasze telefony też nie radzą sobie z wyrazem „obuty”?). Tekst z dużym poetyckim potencjałem rymów niepełnych, z frazeologią o rebusowej sile (u Wojtyszki tylko zegar „wie, o co i po co chodzi”).

Schowajcie więc dzieciom komórki i zabierzcie je do Arlekina – jest duża szansa, że po powrocie do domu uzależnienie od telefonu spadnie.

22-06-2022